KOSMOS

CZASOPISMO

POLSKIEGO TOWARZYSTWA PRZYRODNIKÓW IM. KOPERNIKA

(BULLETIN DE LA SOCIÉTÉ POLONAISE DES NATURALISTES „KOPERNIK“)

REDAKTOR:

PROF. JULIAN TOKARSKI

ROCZNIK XLII.

ZA ROK

1917

LWÓW.

NAKŁADEM POLSKIEGO TOWARZYSTWA PRZYRODNIKÓW IM. KOPERNIKA.

NA SKŁADZIE W KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SYNA.

I. Związkowa drukarnia we Lwowie, ulica Lindego l. 4.

sad mechaniki, jeśli nam wydają się nieodpowiednie. Wszak dzisiaj w teoryach fizycznych upatrujemy nie trwałą treść nauki, lecz raczej narzędzie badania.

Nikogo też nie razi śmiałość nowych teoryj. Pozornie nawet najdziwaczniejsze pomysły przyjmujemy z entuzyazmem, jakby genialne objawienia, jeżeli się okazują pożytecznemi, jako drogowskazy w badaniach nowych, lub jeżeli ułatwiają syntezę znanych działów nauki. Nie znaczy to bynajmniej, by obecnie zwyciężyli bezkrytyczni fantaści. Kto nie wyszkolił się w ścisłem myśleniu matematycznem, kto nie przyzwyczaił się do precyzyi w pracy doświadczalnej lub we wnioskowaniu logicznem, kto nie posiadł gruntownych wiadomości z całego obszaru fizyki, niech się trzyma zdaleka od twórczej pracy naukowej, bo fizyka pozostaje, jak była, pierwowzorem ścisłej nauki przyrodniczej“.

Przemówienie p. W. Goetla p. t.: Ze wspomnień osobistych o Maryanie Smoluchowskim.

Praca naukowa wytwarza często pewną jednostronność. Szczególnie wtedy, gdy zajęcie się nią jest gorące i silne, gdy wypełnia każdą myśl i całą jaźń człowieka, zdarza się, że inne dziedziny życia ludzkiego zaczynają zalegać odłogiem, usuwać się na drugi plan, aż znikną zupełnie i z człowieka nauki wytwarza się typ uczonego, który poza swą specyalnością niczego zgoła nie widzi. Jest to zjawisko do pewnego stopnia zrozumiałe; trzeba całkiem wyjątkowego człowieka na to, żeby opanowywać wiedzę, a nie zapominać o innych dziedzinach ludzkiego ducha, poruszać się swobodnie w obrębie twórczości naukowej, ale umieć też żyć i z życia tego brać to, co jest w niem piękne i wielkie.

Takim człowiekiem był Maryan Smoluchowski, i był nim w mierze niepospolitej, jak niepospolitem było wszystko, co czynił, niemal wszystko, czego dotknął.

Już w stosunku jego do samej nauki ukazywała się pełnia i mistrzowskie opanowanie życia. Nie mojem zadaniem jest tu poruszać szerzej ten temat, ale muszę choć w paru słowach przypomnieć, że nauka była pierwszym motorem jego życia. „Oddawna już właściwie zrzekłem się zajęć społecznych, politycznych i narodowych; od czasu, gdy postanowiłem po

maturze naukę obrać za gwiazdę przewodnią mego życia. To jest główna zasada, której zawsze pozostanę wiernym i wobec której wszelkie inne względy muszą się usunąć na bok". Gdy czyta się te słowa, pisane przez Smoluchowskiego w 1915 roku, gdy zestawi się z owem silnem wyznaniem wiary jego całe życie, to wtedy zrozumie się dopiero kierunek tej wielkiej duszy. Nauka była jego gwiazdą przewodnią, w nauce zestrzelały się, jako w najwyższym celu wszystkie inne jego dążenia, w stosunku do nauki odbijały się, jak w zwierciedle, wszystkie wspaniałe właściwości tej duszy i nadawały jej żywy, gorący, bujny koloryt.

W stosunku tym, jak w całem życiu Smoluchowskiego ponad wszystko inne wybijała się wartość etyczna. Nieskazitelna prawość charakteru, niezwykła szlachetność, prostota, szczerość, ujmująca skromność składały się u niego na obraz, któremu trudno było znaleźć równych. Wystarczyło widzieć tego człowieka, zamienić z nim kilka zdań, żeby odczuć potęgę jego wartości moralnej, żeby się czuć nią porwanym i podniesionym. I było to podniesienie nie słowem, bo nikt nigdy nie słyszał od Maryana Smoluchowskiego słów moralizatorskich, ale podniesienie przykładem, żywem wcieleniem najwyższych ideałów etycznych.

Własna niezmierna wartość etyczna nie wpływała jednak nigdy na jego sąd o ludziach w kierunku stawiania im zbytnich wymagań. Sam prowadził bardzo prosty, spartański tryb życia, ale nie żądał tego od innych. Wogóle był wyznawcą możliwie daleko idącej tolerancyi w ocenianiu ludzi. Kierował się tu, jako jedynym czynnikiem: wewnętrzną wartością człowieka. W sądzie o niej nie dał się niczem sprowadzić z drogi a najpotężniejsze nawet zewnętrzne okoliczności nie miały na to żadnego wpływu. Przy całej swej wyrozumiałości i zrozumieniu odrębności natur ludzkich jednego tylko nie znosił: małości charakteru i usposobienia. Uznawał jedynie wielką linię w życiu, i u wszystkich ludzi tej wielkiej linii szukał. Poszukiwania te rzadko dawały pomyślny rezultat. Gniewało go to czasem i męczyło. I gdy zmęczenie przebrało zwykłą miarę, gdy pospolitość zalewała go zewsząd mętną falą, odwracał się od ludzi, zamykał się jeszcze głębiej w swem cichem, skrytem naogół usposobieniu i uciekał do swej wiernej

pocieszycielki i przyjaciółki: przyrody. Nie trzeba mu tu było wiele. Byle wyrwać się z więzów miejskiego życia na swobodę, na tchnienie świeżego powietrza, na zieleń łąk lub biel śnieżnych pól! Tam dusza jego odżywała, rozprostowywała się, w obcowaniu z przyrodą znajdowała ciszę i spokój. W małem stawidle na podmiejskich łąkach, nad którem w zaraniu wiosny rozwijały się pierwsze pąki wiklin, a w cichej toni zalęgały się pierwsze żyjące stworzenia, czy na samotnych wyprawach w wątłej łódeczce na falach modrego Adryatyku, na przechadzce na Sikornik i beztroskiej włóczędze po wzgórzach okolicy Krakowa, skąd wzrok zapuszczał się w dal aż po sine łańcuchy Karpat i zębatą piłę Tatr, czy na szczytach Matterhornu lub Jungfrau, po ciężkim całodniowym znoju turystycznym, w parku Stryjskim we Lwowie na rozpamiętywaniu uroku grupy zasypanych śniegiem drzew, czy na wędrówkach po dalekich fjordach Norwegii, — wszędzie szukał, widział on i odczuwał jedno wiekuiste, jedyne Piękno przyrody, nieskażone tchnieniem ludzkiem i niem się rozkoszował. Było jego największem szczęściem rozłożyć się gdzieś w cichem, ustronnem miejscu i pić całą duszą czar wschodu lub zachodu słońca, gry fal morskich lub płynięcia obłoków po niebie, szumu lasu lub łoskotu piorunów i burzy, pachnącego tchnienia wiosny lub blasku iskier, lśniących na białych śnieżnych polach, w słoneczne zimowe dnie. W chwilach takich zdało mu się, jak mawiał, że dusza jego wychodzi z powłoki cielesnej, roztapia się zupełnie w świecie i chwile te zupełnego zespolenia się jego jaźni z przyrodą, chłonięcia w siebie i oddechania jej przepotężnem tętnem były mu największem wytchnieniem, najwspanialszą nagrodą za wszystkie udręki, jakie go kiedykolwiek ze strony ludzi spotkać mogły. Tych też chwil szukał przedewszystkiem w swych wędrówkach po świecie. Przemierzając Hiszpanię, Włochy, Francyę, Anglię, Holandyę, Danię, Szwecyę, Norwegię, Niemcy, Austryę i całe ziemie polskie, szukał przedewszystkiem i znajdował miejsca, leżące na uboczu od zgiełkliwych szlaków wielkoturystycznego ruchu, a prawdziwie piękne i przywoził ze swych podróży wspomnienia, których bogactwo i różnorodność, a zupełna przytem odrębność i oryginalność, wzbudzały zachwyt i zdumienie u szczęśliwych ich opowiadań słuchaczy.

Dwa były zjawiska przyrody, które ze szczególną siłą działały na duszę Smoluchowskiego: góry i morze. W obu tych zjawiskach pociągała go przedewszystkiem ich moc, potęga, wielkość, nasilenie w nich wspaniałości przyrody do najwyższych granic przy pełnej ich pierwotności i niezepsuciu przez cywilizacyę. Korząc się przed Pięknem morza i gór, zachwycając się niem i kochając je, występował Smoluchowski równocześnie do walki ze ślepemi siłami przyrody, które broniły mu do nich przystępu. W walce tej był dzięki uposażeniu swemu naturalnemu, a przedewszystkiem wytrwałej pracy nad sobą tak uzbrojony, że śmiało można go było żegnać na najbardziej niebezpieczne wyprawy, których też nie lękał się i które często podejmował. Każdy, kto widział go, z jaką swobodą, wytrwałością i lekkością unosił się na falach wody, jako pierwszorzędny pływak, lub kto szedł z nim na wycieczkę i widział, z jakim spokojem, równowagą, pewnością siebie i niezmąconą pogodą ducha pokonywał największe trudności wypraw górskich w lecie czy w zimie, ten mógł być spokojnym o to bezcenne życie ludzkie.

Smoluchowski dążył do tego, żeby na ciężkiej wyprawie górskiej być tak swobodnym i bezpiecznym, jak w codziennem życiu, żeby możliwość wypadku nie była w górach większa, jak przy chodzeniu po ulicach miejskich, czy wykonywaniu zwykłych zajęć — i cel ten, jeden z najtrudniejszych, osiągnął. Gdy trudności piątrzyły się zbytnio, gdy oczywistem stawało się, że mógłby swe życie narazić w sposób niewspółmierny do celu, umiał się cofnąć w porę. Nie zawstydził się więc, gdy jako słynny już alpinista cofnął się ze ściany Langkofla w Dolomitach z powodu zagrodzenia drogi przez spadły blok, nie zawahał się, widząc niebezpieczeństwo, wstrzymać zapalonych towarzyszy swych wypraw narciarskich od szturmu w straszliwą śnieżną burzę na szczyt Howerli w Karpatach wschodnich. Mistrzowstwo jego w przeprowadzaniu wypraw górskich nie miało granic. Genialny dar oryentacyi, któremu nie mogliśmy się nigdy dość nadziwić, a który nieomylnie wyprowadzał go z najbardziej zawikłanych sytuacyj, młodzieńcza sprężystość i świeżość ciała, ogromne doświadczenie we wszystkich rodzajach wycieczek letnich i zimowych, nabrane na mnóstwie wypraw alpejskich,

karpackich i tatrzańskich, głęboki, płomienny zapał do wędrówek górskich i rozwiązywania najtrudniejszych problemów turystycznych, niezrównana harmonia i spokój ducha i zupełne opanowanie siebie w każdej sytuacyi, umiejętne zespolenie wszystkich sił dla osiągnięcia celu, szybkość decyzyi i nieustraszoność składały się u niego na niezwykłą, nieporównaną całość. I jasną było rzeczą, w jakim kierunku musi iść jego stosunek do gór. Sam Smoluchowski powiada o stronie turystycznej tego stosunku, co następuje: W wyprawie na Farcaul i Michailecul w Karpatach Rodniańskich „pociągała nas właśnie tajemniczość owych trudno dostępnych, nigdy jeszcze przez narciarzy nie zwiedzanych stron. Nęciły nas owe szczyty, należące do najwyższych wzniesień galicyjsko-węgierskich, którym nigdy nawet w lecie nie mieliśmy jeszcze sposobności zblizka się przypatrzyć. Cieszyliśmy się przewidywaną, jakkolwiek skromną domieszką romantycznej awanturniczości naszej wyprawy [1])“.

W tych kilku zdaniach odbija się cały Smoluchowski jako alpinista, czy taternik. Góry ciągnęły go swą tajemniczością i niedostępnością. Stąd był on wrogiem wszelkich zbyt daleko idących ulepszeń cywilizacyjnych w górach. Ochrona Alp, a w szczególności ochrona Tatr miała w nim gorącego zwolennika. Usianie gór olbrzymimi hotelami, podrutowanie ich linami kolejek zębatych, drabin i łańcuchów, budowanie szerokich i szpetnych dróg, raziło go boleśnie, jako profanacya piękna i ciszy górskiej. Szukając w górach samotności, spokoju, zupełnej i niekrępowanej niczem zwobody, cenił w nich przedewszystkiem ich pierwotność i dzikość i tej dzikości był żarliwym obrońcą.

Ale strona turystyczna z całą jej niezwykłą wszechstronnością i niesłychaną głębią nie wyczerpywała jego stosunku do gór. Podobnie jak we wszystkiem, tak i tu interesował go problem, odwieczne pytanie ducha ludzkiego: jak góry powstały. Zaciekawiwszy się zagadnieniem, nie poprzestał na tem, ale śmiałą myślą sięgnął do samego rozwiązania i stąd powstały jego prace o fałdowaniu gór, jedyne prace

---

[1]) „Taternik“. Organ Sekcyi Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego. Kraków (1913). Rok 7, Zesz. 6.

fizyczne, jakie o najnowszych teoryach górotwórczych istnieją. Studya te niezmiernie lubił, nie wahał się nawet poświęcić jednych wakacyj Zakopiańskich na przypatrzenie się szczegółowsze budowie Tatr, jego najukochańszych gór. Na wycieczkach, których szereg odbyłem z nim wtedy, miałem sposobność podziwiać jego niesłychane uzdolnienie obserwacyjne. W krótkim czasie opanował zupełnie tajniki nadzwyczaj złożonej budowy geologicznej Tatr i poruszał się wśród nich z zupełną swobodą. Jego niezwykłe poczucie rzeczywistości, to samo poczucie, które łączył przedziwnie z uzdolnieniem teoretycznem w fizyce, które sprawiało, że był to przyrodnik w każdym calu, święciło tu swoje tryumfy.

I tak działo się, że czuł się w górach, jak w swoim żywiole. Gdy po długiej, męczącej drodze, w lecie obładowany ciężkim workiem, liną i czekanem, w zimie sunący na nartach, osiągnął wreszcie szczyt górski i wzrok jego niekrępowany niczem uleciał w dal, rozkoszując się osiągniętem zwycięstwem, rozpamiętywał często swe dawne wyprawy i cieszył się, że jeszcze ich nie koniec. Na ostatniej swej wycieczce, odbytej na nartach w kwietniu 1917 roku wśród olbrzymiego wiatru halnego na Czerwone Wierchy, zapowiadał z radością towarzyszowi, że gdy tylko wojna się skończy, na niejedną jeszcze pójdzie górską wyprawę i niejedna go boska na szczytach czeka chwila.

Sprawność fizyczną, jaką posiadał do końca w niezmienionej sile, a która mu dawała możność odbywania najtrudniejszych wycieczek górskich, zawdzięczał Smoluchowski sportom. Obok turystyki, narciarstwa, pływania, w których osiągnął pierwszorzędne mistrzowstwo, uprawiał wioślarkę, jazdę konną, jazdę na rowerze, szermierkę, gimnastykę. Przedewszystkiem lubił sporty te, które łączą ze sobą pokonywanie przestrzeni i obcowanie z przyrodą, we wszystkich zaś uwydatniał zawsze strony głębsze, brzydząc się wszelką niezdrową konkurencyą i cyrkowiczostwem, rozwielmożniającem się często w sportach dzisiejszych. Ideałem jego był typ człowieka rozwiniętego wszechstronnie, a nic nie było mu dalszem, jak zasuszony mól książkowy, tracący zdrowie i siły w zamkniętych murach pracowni i patrzący na sport, jak na śmieszność. Zamiłowanie Piękna rozciągnął Smoluchowski

jak prawdziwy Heleńczyk, na całokształt człowieka. Uznając sporty za czynnik, który w osiągnięciu ogólnej harmonii życiowej ma nader ważną rolę, zwalczał energicznie rozpowszechnione do dziś w naszem społeczeństwie, a także i uczonych kołach mniemanie, że sport jest bezużyteczną zabawką, na którą ludzie pracy, nie powinni czasu tracić. Oszczędzanie czasu uzyskiwał on raczej przez wstrzymywanie się od uczęszczania do kawiarń i innych lokali publicznych, których zadymionej i dusznej atmosfery wręcz nie znosił i każdą wolną chwilę poświęcał jeśli nie na wycieczkę, to na sporty. W sportach szukał ucieczki przed przepracowaniem umysłowem, wytchnienia po pracy, w nich znajdował rozkosz wysiłku fizycznego, którą bardzo lubił, w szlachetnej konkurencyi sportowej znajdował wielką przyjemność bezinteresownej i szczerej zabawy, odświeżającej swą prostotą przesyconą kulturą duszę współczesnego człowieka. Z prawdziwą przyjemnością wpominał i stawiał naszej młodzieży za przykład doskonale mu znane, wesołe i niefrasobliwe, a świetnie zorganizowane i popierane przez całe społeczeństwo życie sportowe w Anglii, jako źródło tężyzny dzielnej rasy ludzkiej.

Miłując piękno ciała ludzkiego był sam równocześnie tego piękna obrazem. Jego szczupła, ale harmonijnie zbudowana postać, na której osadzona była wspaniała o klasycznych rysach głowa, działała na wszystkich, jak żywe wcielenie harmonii fizycznej.

Wszechstronność Smoluchowskiego obejmowała we wszystkich kierunkach nadzwyczaj rozległe horyzonty. Wszędzie prowadziło tę wytworną duszę zamiłowanie Piękna jasną i prostą drogą. Uprawiał więc, jak wielu fizyków teoretycznych, muzykę, szukając w niej zapamiętania się i ukojenia. Jego ulubionymi kompozytorami byli Bach, Beethowen, Wagner i Karłowicz. W ich muzyce znajdował Smoluchowski to samo, czego zawsze poszukiwał i co wielbił w życiu: siłę, potęgę, rozmach przy głębi uczucia. Obok wzruszeń uczuciowych, których przy grze doznawał, interesował się i tu jak zawsze i wszędzie problemem. Mając także pewne teoretyczne wykształcenie muzyczne, starał się rozwiązać kwestyę kompozycyi dzieł muzycznych, dociec sposobu ich

powstania i miał o tych sprawach sądy niezwykłe, głębokie, nawskróś oryginalne.

Obok muzyki interesował się bardzo malarstwem. Także i tu nie chciał się zadowolić rolą samego widza. Z radosnem zaciekawieniem zabrał się, jako zupełny samouk, do malowania pejzażu i osiągnął tu w krótkim czasie doskonałe rezultaty. Z akwarel z okolic Karpackich i okolic Krakowa, które malował jeszcze niedługo przed śmiercią, bije jasną strugą zamiłowanie jego do słońca, zieleni i przyrody. Czasem uskarżał się, że zajęcia fachowe nie dozwalają mu na zbytnie zajmowanie się sztuką. Zawsze jednak umiał sobie tak czas rozłożyć, żeby zwiedzać wystawy, na wszystkich podróżach zagranicznych poznawał dokładnie galerye i pomniki sztuki. Obok tego był bardzo zamiłowany w literaturze pięknej, co ułatwiała mu niesłychana łatwość językowa. Wszak władał zupełnie biegle językami angielskim, francuskim i niemieckim, a rozeznawał się doskonale we włoskim, rosyjskim, także i szwedzkim. Z literatur obcych szczególnie lubił literaturę angielską, w niej Byron i Shelley, z nowszych Kipling najbardziej przemawiali do jego prawdziwie romantycznej duszy. Współczesna literatura polska miała w nim głębokiego i wytwornego znawcę. Było prawdziwą rozkoszą słuchać zdań jego o dziełach literatury: tyle tam było polotu, siły uczucia, głębi myśli. Szczególnie trafne były sądy jego o krytykach literackich, które bardzo zajmowały jego ścisły a zarazem tak żywy umysł.

Zamiłowanie i talent literacki Smoluchowskiego wybijały się też silnie w jego dziełach naukowych i wykładach. Wykład jego, popularny czy ściśle naukowy był mistrzowskiem dziełem, skończonem pod każdym względem. Posłuchajmy, co pisze o tem jeden z jego uczniów Władysław Złobicki w nekrologu ogłoszonym w „Szkole polskiej“ [1]). „Był on pierwszorzędnym talentem literackim, skutkiem czego nadawał swoim rozprawkom popularno-naukowym niezwykle ponętną formę. Jego odczytów słuchali często laicy, nieobeznani z tajnikami wiedzy fizycznej i odczuwali przytem to zadowolenie, jakie odczuwa dziecko na widok drogich kamieni, chociaż nie zna ich prawdziwej wartości. Jako profesor był zgoła niedościgniony. Z wykładów jego wiał osobliwy czar i urok. Prosta,

[1]) „Szkoła Polska“ Lublin (1917) Nr. 29.

skromna forma — treść nad wyraz obfita i bujna. Piszący te słowa słuchał przed blisko 20 laty pierwszych wykładów Smoluchowskiego; trzy miesiące przed jego śmiercią był także na jednym z wykładów ostatnich: wogóle zaś słyszał wykładów nie mniej jak tysiąc. Nie słyszał jednak ani jednego, któryby minął bez głębszego wrażenia i nie sycił u słuchających owych odwiecznych pragnień duszy ludzkiej, którym na imię: poznanie prawdy"...

A dalej posłuchajmy, co pisze Sommerfeld z Monachium we wspomnieniu pośmiertnem: „In der Tat konnte sich schwerlich jemand, der ihm näher treten durfte, dem Zauber seines vornehmen und ästhetisch verfeinerten Wesens entziehen. Von künstlerischem Reiz war auch seine Darstellung in Schrift und Wort; den Teilnehmern an der Naturforscher-Gesellschaft in Münster 1912 und an dem Wolfskehl-Kongresse in Göttingen 1913 sind seine formvollendeten Vorträge in frischem Gedächtnis" [1]).

Życie Smoluchowskiego płynęło równo, spokojnie, szczęśliwie, było jedną cudowną harmonią, rozwijającą się i osiągającą coraz to dalsze kręgi. Nie było w niej żadnego zgrzytu, ani jednego fałszywego dźwięku, a podstawą tego było dla Smoluchowskiego życie rodzinne. Niepodobna tu mówić szerzej o tych sprawach, zbyt świeże i zbyt bolesne są to rzeczy. Ale w obrazie tego wielkiego uczonego brakłoby jednego z najważniejszych rysów, gdyby nie powiedzić, że był to człowiek, który osiągnął w życiu rodzinnem zupełne osobiste szczęście. Kto widział go w domu, na łonie swej ukochanej rodziny, kto mógł mu towarzyszyć na wycieczkę wspólną z jego blizkimi i podziwiać, jak mistrzowsko wprowadzał ich w obcowanie z przyrodą, kto słyszał, z jaką serdecznością wspominał o rodzinie i jak tęsknił do jej pogodnej słonecznej atmosfery, ten rozumiał, że życie rodzinne jest dla tego człowieka wieczystem źródłem, z którego bije nieprzerwany strumień szczęścia i z którego czerpie on podstawę dla całego olbrzymiego gmachu swych dążeń i planów, dla całego nieprzejrzanego bogactwa swego życia.

[1]) „Physikalische Zeitschritt" (1917) 18. Jahrgang, str. 534.

Podziwiali też to życie rodzinne ci wszyscy, którzy mieli szczęście bywać u niego na zebraniach, mających takie znaczenie dla ożywienia spokojnej, nieco sennej atmosfery krakowskiej. Na zebraniach tych jaśniały pełnym blaskiem wszystkie niezrównane zalety Smoluchowskiego. Będąc człowiekiem przy całej swej zamkniętości nawskróś towarzyskim, umiał on dobierać zespół ludzi takich, w obcowaniu z którymi można było wzbijać się na wysoki poziom umysłowy i kulturalny. Jego nadzwyczajna wszechstronność i polot myśli sprawiały, że równie dobrze czuł się w rozmowie z nim przyrodnik, czy humanista, uczony czy człowiek praktycznego życia. Będąc punktem środkowym tych zebrań, ożywiał je taką potęgą ducha, że stawały się one częstokroć prawdziwemi biesiadami kulturalnemi.

Największą jednak radość i przyjemność sprawiało Smoluchowskiemu pożycie z młodzieżą. Jego stosunek do młodzieży był czemś tak niezwykłem, że strata jego na tem polu jest niepowetowaną katastrofą. Smoluchowski kochał młodzież i rozumiał ją. Życzliwość i serdeczna uprzejmość z jaką się do niej odnosił, wyrozumiałość dla wszystkich wad i załamań młodzieży, unikanie moralizatorstwa i stawania na koturnach tylko z racyi swego starszeństwa, gorący entuzyazm dla bujności i rozmachu młodości, były to właściwości, które jednały mu ogólną cześć i miłość młodych. Zdrowy instynkt młodości odczuwał w nim przyjaciela, opiekuna, orędownika, a przedewszystkiem człowieka, który sam był wieczyście młodym. Ze szczególną siłą odczuwała to młodzież na wycieczkach, które Zmarły odbywał niemal stale w jej gronie. Tu jako główne przykazanie stawiał nam przed oczy obowiązek zapomnienia o swej profesorskiej godności, kazał się uważać za równego wszystkim towarzysza wycieczki i zasadę tę przeprowadzał w czynie.

Nigdy nie zapomnę pewnego epizodu z jednej z wypraw tatrzańskich. Smoluchowski udał się w gronie naszem, samej młodzieży, na wycieczkę narciarską w Tatry Zachodnie. Szereg zimowych, mroźnych nocy spędzaliśmy w schronisku narciarskiem w dolinie Starorobociańskiej i stamtąd przedsiębraliśmy wycieczki na okoliczne szczyty. Wieczorem, jak to zwykle w życiu schroniskowem bywa, wyznaczaliśmy kolejno

z pośród siebie jednego, którego obowiązkiem było zajmowanie się kuchnią, przynoszenie wody z pobliskiego potoku itd.; Profesor w myśl cichej umowy, był oczywiście wyłączony z tej kolei. Ale oto pewnego wieczoru, kiedy na mnie kolej przypadła iść po wodę, Smoluchowski gdzieś znikł. Gdy właśnie zabierałem się do pracy i począłem szukać wiader, jakiś wesoły głos zawołał na mnie od potoku. Wybiegłem przed drzwi schroniska i w pomroce zobaczyłem postać profesora objuczoną pełnemi wiadrami wody i brnącą z niemi w głębokim śniegu w kierunku schroniska. Kiedy chcieliśmy wiadra odebrać, wyłajał nas, przypominając, że nie po to jest na wycieczce, żeby wyłamywać się z pod jej prawideł.

I takim ukazywał się wszędzie. Nie zawahał się już jako dziekan i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego przywdziać na Wiśle czerwonej czapeczki i stroju akademików-wioślarzy i razem ze studentami zasiąść na łodzi do wiosła. Na wesołych wyprawach Wiślanych Akademickiego Związku sportowego zabawiał się całem sercem z młodzieżą. Gdy chcieliśmy go w czemkolwiek wyręczyć, usuwał nas łagodnie, ale stanowczo, powtarzając, że nie chce towarzyszom sportu przewodzić swym stopniem uniwersyteckim.

I stanowiskiem swem nie przewodził profesor Smoluchowski młodzieży, ale prowadził ją duchem, całą wspaniałą istotą swoją. Gdzie tylko się pojawił, serca młodzieży lgnęły do niego z nieprzepartą siłą, czciły go, jak swego mistrza i wodza, kochały go jak swego najdroższego przyjaciela. Wpływ też jego na młodzież był nieograniczony i nie potrzebował wielu słów na to, żeby ją tam skierować gdzie to było jego życzeniem. Wystarczał jego żywy przykład, ten zaś wiódł zawsze w górę ku ideałom!

Radość też niezmierna panowała wśród młodzieży, gdy uznawano w świecie zasługi Smoluchowskiego. A zasługi te uznawano coraz bardziej. Ten cichy, skromny człowiek potęgą swych cnót stawał się punktem środkowym każdego zbiorowiska, w które wszedł. Instynktownie też dążono do tego, by mu powierzyć najwyższe stanowiska. Był członkiem czynnym Akademii Umiejętności w Krakowie i Towarz. Nauk. w Warszawie. W lwowskiem Towarzystwie przyrodników im. Kopernika był przewodniczącym, w Uniwersytecie lwowskim dzie-

kanem wydziału filozoficznego, w Sekcyi Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego przewodniczącym, w Akademickim Związku Sportowym w Krakowie członkiem honorowym, w Towarzystwie Naukowem w Getyndze był wybrany na członka korespondenta, w Uniwersytecie Jagiellońskim został w krótkim czasie dziekanem, a potem rektorem, w Akademii Umiejętności przewodniczącym Komisyi Fizyograficznej. Godności, które spadały na niego jedne po drugich w młodym stosunkowo wieku, cieszyły go. Przy całej bowiem swej skromności znał on wartość swoją i uważał, że zaszczyty te są skutkiem zwycięstwa tych pierwiastków jego ducha, które on za najlepsze uważał.

W życiu swojem krótkiem doszedł on do wyżyn, które rzadko komu było danem osiągnąć. I z pewnością byłby szedł dalej po swej drodze ku nowym nadzwyczajnym zdobyczom, gdyby nie wojna. Wojna wpłynęła na Smoluchowskiego fatalnie. Jego całe dostojne człowieczeństwo cierpiało nad rozlaniem się owego morza barbarzyństwa nad światem, jego głęboko wkorzeniona miłość do nieograniczonej wolności raniła się nieustannie na ścianach duszącej wszystko klatki, w jaką zamknięto Europę, jego wygórowane pojęcie o życiu sprzeciwiało się całą siłą bezdusznym wybrykom militaryzmu. Straszliwe położenie Polski, którą kochał całą duszą, jako gorący i głęboki patryota, gnębiło go niewymownie, a obrzydzeniem napełniały go wyskoki nieodpowiedzialnej, wojennej polityki.

Zmagał się z tem wszystkiem i szarpał Smoluchowski, nerwy jego jednak zaczęły niekiedy niedopisywać, żelazne zdrowie podupadać, a nawet chwile czarnego pesymizmu poczęły obsiadać jego promienną duszę. W chwilach takich coraz częściej wyrywały mu się słowa: ach, żeby to raz się już skończyło, żeby to już było po wojnie, żeby to jakoś przeżyć... I nie było mu danem doczekać się tego końca. Przyszła znienacka wojenna choroba, która powaliła go, jak uderzenie piorunu roztrzaskuje wspaniale rozkwitły, w niebo ramionami sięgający dąb.

Smoluchowski nie bał się śmierci, jak nie obawiał się w życiu nigdy niczego. W chwilach, w których ten romantyk wiedzy i życia zastanawiał się nad śmiercią, tak pisał o niej:

„Wznieś się ponad marnostki ludzkie i przypatrz się życiu ze stanowiska wiecznej Przyrody. Wszak my wszyscy idziemy tą drogą, którą szły biliony przed nami, a będą szły biliony po nas. Czy o chwilkę krócej, czy dłużej zabawimy na tym przystanku, cóż to znaczy!“

Były to słowa człowieka, który w drodze swego życia osiągnął szczyt i ze szczytu tego spokojnem i nieustraszonem okiem spoglądał w twarz Wieczności.

Gdy jednak w innej chwili uprzytomnił sobie ten niezmierzony obszar Piękna, Prawdy i Wzniosłości, które życie rozsiewało wokół niego, wydarło mu się z piersi inne, przedśmiertne już powiedzenie:

„A przecież życie jest warte życia!“

I to powiedzenie zostawił dla nas jako naukę, a życie swoje jako wzór zawartej w niem głębokiej prawdy. Bo jeśli dla wszystkich, blizkich i obcych, pozostanie Smoluchowski zawsze w pamięci, jako tytan wiedzy, to dla tych, którzy mieli szczęście bliżej z nim obcować, żyć on będzie wiecznie w sercach, jako wcielenie ideału Człowieka!

II. *)

Przemówienie przewodniczącego, p. St. Sokołowskiego.

Jeżeli z pośród żywych ustępuje podeszły wiekiem człowiek, który wypełniwszy pracą dni swoje, miał czas i sposobność doprowadzić do skutku wszystkie powzięte zamiary i rozpoczęte prace, który wypełnił księgę żywota aż do ostatniej kszty, — wtedy uchylamy czoło przed nieubłaganą koniecznością i z rezygnacyą przyjmujemy zgon, jako odpoczynek po walkach i mozołach długiego żywota.

Ale gdy umiera człowiek dojrzały, w pełni sił i życia, który przez swą działalność stał się chlubą i zaszczytem polskiego narodu, na którym budowała swą nadzieję nauka nietylko polska, ale i światowa, człowiek, w którego księdze życia tyle jeszcze białych kart pozostało, — wtedy do zwykłych uczuć rezygnacyi i smutku dołącza się poczucie bolesnego zawodu i żal za niespełnionemi nadziejami.

---

*) Przemówienia wygłoszone na uroczystem posiedzeniu Pol. Tow. Przyr. im. Kopernika we Lwowie, poświęconem uczczeniu pamięci prof. M. Smoluchowskiego, dnia 11. XII. 1917.